

MATYŁDA SERAO

## UCIĘTA REKA

TŁUMACZYŁA

MARYJA TOCZYSKA

19

I.

Robert i Ranieri stali ztęnerwowani, podrażnieni przeszkodami, które co chwila zjawiały się na ich drodze, utrudniając pościg. Dwa razy wiktorya Heliany zatrzymać się musiała przed nadjeżdżającym tramwajem, raz znowu wózek z kwiatami, pchany przez dwóch chłopców, zastąpił mu przejście. Przypadek zdawał się faworyzować uciekających.

— Nie dogonimy ich! — jęknął glucho Lambertini. — Oni uchodzą przed nami!

— Nie mogą, nie powinni uciec! — zawołał z wściekłością Robert Alimena.

— Luigi! prędzej! prędzej! — przynaglała niecierpliwie Heliana.

Sztangret zaciął silnie konie. Konie ruszyły cwałem, bijąc bruk kopanymi. Przestrzeń pomiędzy powozami zmniejszać się zaczynała. Robert mógł już doskonale obserwować kobietę w białym płaszczu. Nie odwracała się już jednakże, jakgdyby ulegając rozkazowi swojego towarzysza.

Obydwa powozy znajdowały się już przy wylocie ulicy Ferumi. Zdawało się przez chwilę, że pierwszy powóz zwolnił trochę biegu, wahając się, jaką wybrać drogę, potem z dwojną szybkością popędził ku dworcowi.

Viktoria Heliany pospleszyła za nim. Był to prawdziwy wyścig, cichy, skoncentrowany, milczący. Nieznajomi nie zatrzymali się na dworcu; powóz ich skręcił w sieć nowych ulic, utworzonych po prawej stronie i sunął dalej ku ulicy 20-go Września.

— Gdzież oni podążają? — zapytała niespokojnie Heliana, którą ta gonitwa podnieciła gorączkowo.

— Kto to wiedzieć może? Musimy dalej jechać za nimi — odparł Robert Alimena.

— Tak, musimy jechać dalej — powtórzył energicznie Lambertini.

Szeroka ulica 20-go Września rozciągała się prosto przed nimi. W tej chwili była zupełnie pustą i doskonałym była terenem do dalszego pościgu. Jednakże znowu powóz uciekających wysunął się naprzód. Widocznym było, że pragną za wszelką cenę uchronić się przed pogonią. W szalonym pedzie powóz minął Porta Pie i z głuchym łoskotem zagłębił się w ciemną już ulicę Nomentana.

Robert i Ranieri spojrzeli na siebie z osłupieniem.

— Co to jest? Oni jadą na wieś!... wyjeżdżają z miasta! — zawołała Heliana. — Awantura zaczyna przybierać większe rozmiary. Co robimy Robercie?

— Jedziemy za nimi!

— Czy jesteś uzbrojony? — zapytał Ranieri szepem przyjaciela.

— Tak... brzmiała krótka, zimna odpowiedź.

— Ja również — odszepnął jeszcze Ranieri, ale obecność Heliany może być dla nas przeszkodą.

Robert wzruszył ramionami zrezygnowany, gotowy na wszystko.

Teraz już pościg miał w sobie coś fantastycznego.

Nie była to właściwa ulica, ale szeroka droga, po bokach której wznosiły się gdzieś wille, ciemne i niezamieszkałe w tej porze roku. Poza tem żadnych śladów istnienia ludzkich i zabudowań.

Droga była zaledwie miejscami oświetlona nikłymi, niedużymi latarniami. Po obu jej stronach rozciągały się pola rzymskie, obszerne, ciemne i opustoszałe. Powietrze było chłodne i wietrzne. Heliana drząc całkiem ciałem, owinęła

się w swój płaszcz. Przy słabych blaskach latarni, rzucającej w przelocie chwiejne, nikłe światło, twarze wszystkich dziwne były blade i zmienione. Robert i Ranieri pewni byli, że mają tam przed sobą w tym pędzącym powozie najniebezpieczniejszego swojego wroga, jakąś istotę szkodliwą i tajemniczą. Podniecenie ich wzmagalo się z każdą sekundą. Dla Roberta pościg ten był walką o śmierć i życie! Świadomość, że obok człowieka w czarnej masce znajduje się kobieta, której spojrzenie takie na nim wywarło wrażenie, przyspieszało obieg jego krwi w rozpalonych jego skroniach.

Heliana Love również poddawała się nastrojowi, tembardziej, że jak wszystkie kobiety artystki, wyobraźnię miała bujną i żywą. Ta noc, ciemność, ten pościg wśród rozległych, pustych pól rzymskich, wystarczyło, aby tę jej wyobraźnię rozpalać teraz do najwyższego stopnia, chociaż sama osobiście, w zawiązujący się ten dramat udziału nie brała.

Zdawało się, że powóz przeciwników uniesiony został nagle przez niewidzialne skrzydła. Widzieć go już nie mogli, tylko głuchy, sili-



Wściekły okrzyk wyrwał się z piersi młodych ludzi. Powóz był pusty...

miony tentent dobiegał ich czasem, przyniesiony podmuchem wiatru.

— Wygląda to na zasadzkę — szepnął Ranieri do ucha Roberta. — Nigdy nie zdołamy dopędzić ich. Tamte konie pędzą jak szalone!

— A więc powrócimy. Nie wolno nam Heliany narażać na niebezpieczeństwo — odparł Robert zniechęcony i zaniepokojony.

— Tak. Musimy się na razie uznać za zwyciężonych — westchnął ciężko Ranieri.

Tymczasem powozy pędziły dalej. Przy błysku latarni, świecącej w dali, Robert ujrzał niespodzianie, że powóz, wiozący kobietę w bieli, przebiegł w galopie mostek nad małą rzeczką Avenne i znikł nagle bez najmniejszego szelustu.

— Luigi, zatrzymaj konie zanim dojedziemy do mostu! — rozkazała Heliana, poinformowana przez Roberta o znalezieniu powozu.

— Musiał wpaść do rzeki — zaśmiał się nerwowo Ranieri.

Nie było ani domu, ani drzewa, na pustych polach, ani przy rzeczce. Heliana z towarzyszami stanęła na moście i wszyscy w milczeniu spojrzeli na siebie.

Gdzie zniknął powóz? Co się z nim stało? Gdzie go szukać teraz?

Stali tam chwilę oszalomieni, nie wiedząc co czynić dalej, kiedy rozległ się tentent i powóz wyłonił się nagle z ciemności i w szalonym galopie przejechał obok nich z powrotem, w kierunku Rzymu.

Wściekły okrzyk wyrwał się z piersi młodych ludzi. Powóz był pusty...

Głęboka cisza zaległa w małym domku Mojżesza Kabiba, przy uliczce Pianto. Tak, jak za zwyczaj, stary handlarz powrócił do domu o dziewiętej godzinie i spożył wieczerzę w milczeniu w towarzystwie Racheli i swojego pomocnika.

Rachela tego wieczora nie wyrzekła ani słowa, pogrążona jak i ojciec w głębokich rozmyśleniach.

Od kilku dni zauważyć było można, że stary Mojżesz jest czymś niezwykle zajęty i zaniepokojony.

Parę razy niespodzianie powrócił do domu, spoglądając wokół badawczo i przenikliwie, wypatrując, szpiegując, jakgdyby lękał się zastać w domu ukrytego nieprzyjaciela. Ale za każdym razem zastał Rachelę zajętą wykonaniem jakiegoś misternego hańtu, lub czytającą jedną z nienawidzonych przez niego książek chrześcijańskich. Raz tylko, kiedy wszedł po cichu i ujrzał jak pisała, ale zanim doskoczył by pochwycić ćwiartkę papieru, Rachela zrećnie, dumnym, wyzywającym ruchem podarła ją w drobne kawałki.

Stary zamruczał jakies groźby na Ranieri Lambertiniego, lecz wyszedł, nie śmiejąc córce uczynić uwagi.

Mojżesz Kabib wracał zawsze wieczorem ponury i przybity. Rachela przyzwyczajona do długich godzin milczenia, nie zadawała mu żadnych pytań, nie starała się przeniknąć przyczyny jego smutku.

Czuła tylko, że coś bardzo poważnego dojrzeła pomiędzy nią a ojcem. I rzeczywiście cichy dramat, rozwijający się w małym domku na ulicy Pianto, biegł szybkim tempem ku katastrofie.

Ostatnie wahania Racheli, obawy jej tajemnic i niepokoje, zaczęły się pomalu rozwiewać. Zdecydowana już była teraz na wszystko.

Tego wieczoru, zdawało się Racheli, że dostrzega na twarzy ojca żywszy niż kiedykolwiek wyraz bólu i równocześnie i gniewu, uczucie lęku jakiegoś i smutku.

Kiedy pomocnik odszedł, pozostała jeszcze czas jakiś w milczeniu, z rękami beczynnymi założonymi na kolanach, jakgdyby czekając na odezwanie się ojca.

Roza w ciemnym pokoju robiła szkarpełki i słysząc tylko dźwięk drutów, uderzających o siebie.

Mojżesz Kabib skończył palić fajkę. Wówczas Rachela powstała, mówiąc:

— Dobrej nocy, ojciec.

— Dobrej nocy. Ale ty nie chodź jeszcze spać, Rachelo.

— Dlaczego?

— Bo powinienem ci może coś powiedzieć — odpowiedział, nie podnosząc oczu.

— Ty, ojciec?

— Tak, ja.

— A dlaczego nie mówisz mi tego zaraz?

— Później, później może...

— To dobrze — wyrzekła zimno, odwracając się do niego plecami.

Po odejściu córki, stary Mojżesz odesłał służącą, zapowiadając jej, żeby nie niepokoila się żadnymi szmerami, które do niej dobieść mogą.

Roza wzruszyła ramionami i oddaliła się.

Nie położyła się jednak, bo wszystkie domowe tajemnice i zwyczaje wyczuwała, że coś nadzwyczajnego przygotowuje się w tę noc.

Rachela również znalazła się w swoim pokoju, nie zamierzała udać się na spoczynek.

(Ciąg dalszy nastąpi)